№ 39. 25. Września 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W stuletnią rocznicę.

...Po całym świecie — wieść taka śle się:
Błogosławieństwo Bóg pracy niesie,
Po dniach tygodnia pracy i trudu
Nastaje siódmy dzień święty cudu,
Bo przy ołtarzu namiestnik stawa,
I bez krwi płynie ofiara krwawa —
I wtedy: »Słowo Ciałem się staje«
I Bóg się grzesznym na świat oddaje.

Już nieraz nasze słońce wiekowe,
Świetliło trudy i łzy hiobowe —
Nieraz my ciężkie znosili bole,
I krwią i potem rosili pole!
A po nad wszystko, kiedy trzykrotnie
Wróg nam rozdzierał Matkę sromotnie.
I gdy po trzykroć lud za bój święty
Daremnie cudu czekał przejęty!

Lecz cud zabłyśnie za jednym razem!
Przed Przenajświętszej stańmy obrazem —
Z pracą, z serc naszych krwawych modłami:
»Królowo Polski! módl się za nami!«

A gdy po latach pracy i znoju,
Pod jednem hasłem staną do boju
I ci — co święcą i ci co grzeszą,
I ci — co pieczę mają nad rzeszą!
I ci najbardziej — co świętej ziemi
Bronią i strzegą dłońmi własnemi,
I potem znaczą swą miłość dla niej
I życie własne oddają w dani —
I ci najstarsi i namiestnicy —
I ci najmłodsi z pańskiej winnicy —
I ci najbliżsi do serca Matki,
Dla których promień słoneczny rzadki.
I gdy nad własne sądy i chcenia
Droższą im będzie wiara zbawienia
I gdy w jej ogniu, w jej czci ołtarzu
Świętej miłości skry się rozżarzą —
I w niej oziębłe serca zgoreją
I wyjdą mężne wiarą, nadzieją —
I stanie zastęp ten silny duchem
Związany ściśle bratnim łańcuchem,

O, wtedy błyśnie cudny dzień świtu!
Ożywczy promień spłynie z błękitu
I wieść obiegnie krainę całą:
„A słowo Ciałem się stało!“

Anda.

Kartki naukowe.

Treść: Nowa kometa. — Pożary na torfowiskach w Szwajcarji. — Niehygjeniczne własności lodu. — Nowe badania nad bakterją cholery. — Co to jest synopsja?

W miesiącu Lipcu astronomja wzbogaconą została nowem odkryciem; dojrzano jednocześnie w Europie i Ameryce nową kometę tak znacznych rozmiarów, że przez dwa tygodnie widzialną była dla oka nieuzbrojonego w żadne narzędzia optyczne. Była to niespodzianka dla astronomów, nie przewidywali oni pojawienia się komety, ponieważ nie znali jej dotąd. Zbliżywszy się do ziemi na 61 miljonów kilometrów, kometa umykała od naszego świata z nadzwyczajną szybkością.

Czy nowy ten gość wróci jeszcze kiedy do nas, czy też zanurzywszy się w fale eteru, uleci tak daleko, iż nigdy już go nie ujrzymy? Któż odgadnąć zdoła.

Wielka tajemnica okrywa jeszcze te błędne ciała niebieskie, które przychodzą do nas z oddali i znowu nikną w nieskończoności. Wszystko jest w nich zagadką dla astronoma i fizyka: hyperboliczne ich orbity, ich lot ku słońcu, mglista ich postać, światło, metamorfozy, niematerjalne prawie ogony, wciąż przez słońce odpychane. Komety zdają się stanowić wyjątek w ogólnej harmonji, panującej w ruchach ciał niebieskich. Być może wędrują one, jak błędne duchy od gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca; opuszczają jakiś nieznany nam system słoneczny i zbliżają się do naszego systemu, a tu czeka na nie zasadzka, bywają one nieraz tak silnie przyciągane przez nasze

planety, że zostają uniesione i muszą wraz z niemi odbywać wędrówkę dokoła naszego słońca, bujając koło niego jak motyle.

Komety są niezmiernie liczne, Kepler mawiał, iż tyle jest komet na niebie, ile ryb w Oceanie. Pomimo to nie zdołano jeszcze wykryć jakie jest pochodzenie tych ciał tajemniczych. Większość uczonych przypuszcza, że komety są pozostałemi resztkami pierwotnej mgławicy, która zapełniała niegdyś wszechświat. Zgęszczając się powoli ów gaz świetlany wydał na świat słońca, ziemię i inne planety, pozostałe zaś szczątki zewnętrzne utworzyły komety, których przeźroczyste ogony mają być obrazem owej mgławicy, rodzicielki wszelkich cudownych światów.

Inni astronomowie wygłaszają teorję wręcz przeciwną pierwszej, twierdzą oni, że komety nie są bynajmniej młodocianemi ciałami niebieskiemi, lecz światami, które przeżyły już swój wiek, skończyły swą ewolucję; że są to szczątki zamarłych światów, cmentarzyska starożytnych słońc. Według tej teorji nasze słońce, gorzejące płomieniem jest ciałem niebieskiem w fazie młodości; nasza ziemia była niegdyś takimże płomiennem słońcem, obecnie zastygła, znajduje się w wieku dojrzałym; blady wyschły księżyc, z popękaną skorupą z braku wody, jest zastarzałem ciałem niebieskiem i wreszcie komety są trupami dawnych światów. Wszystkie ciała niebieskie kolejno przechodzić muszą przez takie fazy. A więc nawet i słońca rodzą się, rozwijają i w końcu... umierają.

Ubiegłe lato pamiętne będzie również z powodu niezwykłego zjawiska geologicznego, jakie objawiło się w Szwajcarji. Zapaliły się tu na wielkich obszarach torfowiska i pożary trwały przez kilka tygodni. Trudno uwierzyć prawie, aby substancja tak przesiąknięta wodą, jak torf, mogła z łatwością szerzyć pożar. Torf z powodu znacznej zawartości wody, popiołu i przymieszki ziemi pali się trudniej od drzewa. Świeżo wydobyty torf zawiera około 80 procent wody, przez długie suszenie na słońcu traci znaczną część wody i wtedy może być użyty jako paliwo.

Owe pożary nawiedziły miejscowość położoną między jeziorami Bienne i Neuchatel. Z początku zaczęła palić się sucha trawa na powierzchni bagna, następnie ogień przeszedł od wierzchniej warstwy do głębszych warstw, torf stopniowo osuszany stawał się zapalnym i od tej chwili nie było już żadnego hamulca na poskromienie ognia, gdyż zabrakło wilgoci, któraby wstrzymywała szerzenie się pożaru. Przenikał on coraz głębiej i obejmował coraz to większe obszary. Aby ograniczyć pożar, kopano głębokie rowy dokoła miejscowości dotkniętych klęską, lecz drobna iskierka częstokroć, którą wiatr porwał na drugą stronę rowu, wzniecała nowy pożar. Nadzwyczajna susza, która tak długo trwała podczas wiosny, wiele przyczyniła się do podtrzymania tych niezwykłych pożarów.

W gorące dni letnie wiele osób ma zwyczaj chłodzenia się napojami z lodem. Jestto zwyczaj wielokrotnie potępiany przez lekarzy. Niezależnie od tego, że wprowadzanie do organizmu napojów nadmiernie oziębionych, sprowadzić może często szkodliwe zaburzenie w krążeniu krwi u osób nerwowych i słabowitych, nadto sam lód kryje w sobie niebezpieczeństwo. W Ameryce, gdzie używają wiele chłodzących napojów, rozwinęły się specjalne cierpienia żołądkowe; pochodzą one wprawdzie nie od samego lodu, ale od nieczystości w lodzie zawartych. Ponieważ lód jest skrzepłą wodą, zatem jeżeli woda była zanieczyszczoną, to lód pochodzący z niej będzie szkodliwy, przekonano się o tem niejednokrotnie, szczególniej w Ameryce. Bakterje tyfusu doskonale znoszą zimno i przechowują się w lodzie, badano np. lód, który leżał 103 dni i zauważano, że zawierał on niezliczoną ilość tych bakterji. Używanie takiego lodu sprowadzało epidemię tyfusu.

Oczywista rzecz, że naturalny lód zawsze zawiera liczne mikroby. Widzimy z tego jak zdradliwem być może używanie lodu niewiadomego pochodzenia, lub też pochodzącego z takiej wody, której nie odważylibyśmy się napić. Pasteur ze swej strony orzekł, że „wszelka woda nie dobra do picia, nie nadaje się do robienia zapasów hygienicznego lodu, gdyż wszystkie prawie bakterje, bądź nieszkodliwe, bądź chorobotwórcze znoszą wielkie zimna“.

Kwestja dostarczania hygienicznego lodu zajmuje obecnie lekarzy francuzkich; żądają oni by fabrykacja i sprzedaż lodu podlegała odtąd ścisłej kontroli i aby surowo zabronioną była sprzedaż lodu, który nie pochodzi z wody źródlanej.

Co się tyczy bakterji cholery, ciekawe niezmiernie badania świeżo dokonane zostały przez dwóch fizjologów niemieckich Emmericha i Tsuboi. Badali oni co mianowicie jest przyczyną otrucia się podczas cholery. Atak choleryczny powstaje zwykle wskutek obecności w organizmie tak zwanych przecinków Kocha. Jednakże mikroby te same przez się nie są przyczyną choroby; otrucie powstaje wskutek płynów wydzielanych przez mikroby, a właśnie inne wydzieliny są trujące. Takie jest przynajmniej teraźniejsze zapatrywanie się uczonych. Nie wiedziano wszelako jakiego rodzaju truciznę wydzielają przecinki Kocha. Pp. Emmerich i Tsuboi za pomocą doświadczeń na rozmaitych zwierzętach, przekonali się, że trucizną wydzielaną przez bakterje cholery jest substancja dobrze znana w rolnictwie, są to a z o t o n y czyli azotany nie zupełnie utlenione; owe azotony wprowadzone do organizmu rozmaitych zwierząt wywoływały wszystkie objawy choleryczne, dobrze znane lekarzom.

Ciekawy ten wniosek fizjologów niemieckich bezwątpienia będzie sprawdzony przez innych uczonych i jeżeli w obserwacjach powyższych nie zaszła żadna omyłka, to badanie cholery zrobiłoby wielki krok naprzód. Należałoby wtedy znaleźć przeciwtrutkę na a z o t o n y, co nie byłoby trudne,

a wówczas posiadalibyśmy lekarstwo na tę straszliwą chorobę.

Przed kilku laty po raz pierwszy zauważano, że pewna garstka ludzi zdolną jest odbierać specjalne wrażenia fizjologiczne, nie zrozumiałe dla ogółu ludzi. Osoby takie słysząc rozmaite dźwięki, wyrazy, odbierają jednocześnie wrażenie barw, ściśle związanych z owemi dźwiękami, szczególniej brzmienia samogłosek posiadają dla nich jakąś stałą barwę; *a* może być zielone, czerwone, niebieskie; *o* czarne, szare, żółte itp. Dodajmy nawiasem, że barwy samogłosek mogą przedstawiać się każdej osobie inaczej. Gdybyśmy więc zadali pytanie: jaką barwę posiada dźwięk *i*? Jaki kształt ma poniedziałek? to pytania takie byłyby niezrozumiałe dla ogółu ludzi nie obdarzonych ową szczególniejszą właściwością, znaną w nauce pod nazwą słuchu barwnego, albo też synestezji i synopsyi, jak ją Flournay nazwał.

Osoby, które nie doświadczały owych synopsji, biorą to zjawisko za coś anormalnego i spoglądają na tych, którzy są do nich niepodobni, jak na istoty wyjątkowe, jak na warjatów lub zdegenerowanych. Jednakże obserwacje wykazały, że owa właściwość fizjologiczna nie jest czemś nadzwyczajnem i napotyka się często u ludzi posiadających najzupełniej zdrowy umysł. Zobaczmy teraz w jaki sposób tłómaczą się te zjawiska, które tak długo uchodziły za niepostrzeżone. Pojmujemy łatwo, że jakaś litera, wyraz, data, wywołać mogą pewne myśli i wspomnienia; np. ktoś co uczył się czytać z kolorowanego abecadła, gdy zobaczy literę *A* będzie myślał o czerwonej barwie, jeżeli taką barwę posiadała litera A w elementarzu. Innemu widok litery J zawsze przypominać będzie jelenia, ponieważ to zwierzę było narysowane przy literze J.

To proste kojarzenie pojęć posunięte o jeden stopień dalej, staje się kojarzeniem wrażeń. Powstaje podwójne wrażenie wzrokowe i słuchowe, wymawianie dźwięku *a* np. wywołuje w uchu czucie słuchowe, a jednocześnie wzrok wewnętrzny ujrzy określoną jakąś barwę. Gdy synopsja posunięta jest do najwyższego stopnia, wówczas barwa, światło lub kształty przybierają wszystkie cechy rzeczywistości i uzewnętrznienia. Niektóre osoby zamiast barw przy słyszeniu dźwięków widzą figury geometryczne, mniej lub więcej regularne. Naprzykład poniedziałek przedstawia się danej osobie jako kwadrat, miesiąc luty jako kółko i t. p. W owych szematach bywają niekiedy ciekawe komplikacje, oto jeden z wybitnych przykładów. Pani Z. zawsze uosobiała liczby, tak iż mogłaby napisać romans, mający liczby za bohaterów; 1, 2, 3 są to dzieci bez określonego charakteru, bawiące się razem; 4 jestto poczciwa i łagodna kobieta, oddana zupełnie zajęciom gospodarskim; 5 jest młodzieńcem pospolitym co do powierzchowności i gustów, egoista; 8 jest dystyngowaną damą; 9 jest ona żoną egoisty, nieprzyjemnego charakteru itd.

Już z tych kilku przykładów widzimy jak rozmaite formy przybierać może synopsja.

Dr. M. Stefanowska.

BENOIT MALON.

Wśród socjalistów francuskich wywierał onego czasu poważny wpływ na cały ruch robotniczy Benoit Malon. Charakterystycznem to już snać wśród francuskich socjalistów, że nie ma tego ślepego trzymania się jakichś dróg ubitych, nie ma tego niewolniczego trzymania się katechizmu i dogmatów jak u socjalnych-demokratów niemieckich. U każdej niemal jednostki, która inteligencją swoją wybiła się po nad szary tłum urabia się osobna jakaś teorja, czy tam doktryna. Stąd to różnobarwność teorji w olbrzymim ruchu socjalistycznym francuskim.

Benoit urodził się w St. Etienne w r. 1841 z rodziców nader ubogich. Ojciec jego, proletarjusz, nie mógł mu dać najmniejszego wychowania. Do 18 roku życia — jak sam o sobie powiadał nie umiał ni czytać ni pisać.

W jaki sposób wypłynął na widownię ruchu robotniczego opowiada pokrótce Drumont w dziele swem »la fin d'un monde«.

Było to pewnego ciemnego i chłodnego wieczora w jednym z ostatnich lat drugiego cesarstwa. Młody człowiek o lichej budowie ciała, skąpym zaroście na twarzy, o wzroku pełnym zwątpienia, przechodził chwiejnym krokiem brudne zaułki jednej z robotniczych dzielnic Paryża.

Postawa, suknie i całe w ogóle zachowanie się jego zdradzały wprawnemu oku badacza, całą przeszłość tego człowieka. Na pierwszy rzut można było poznać, że należał do tej masy nieszczęśliwych robotników, których nędza przygnała do Paryża, gdzie spodziewali się znaleźć kawałek chleba. Lecz zamiast chleba, znajdują tu częstokroć jeszcze gorszą nędzę i głód, łamiące całą moralną siłę człowieka, któremu po tysiącznych cierpieniach nie pozostaje już żadne inne pragnienie, jak tylko skończyć... samobójstwem.

Długo szedł bez celu, myśląc jakby skończyć to nędzne życie. Nagle zatrzymał się i wzrok utkwił w ziemię. Coś tam błysnęło. Znalazł skarb — tak skarb, bo aż 10 sous.

Na chwilę pierzchły czarne jego myśli. Chciał raz jeszcze użyć tego świata — i poszedł do szynku!

Dziesięć sous uratowało go od śmierci.

Jedząc w szynku dowiedział się, iż w pewnej farbiarni poszukują robotników. Nie wiele myśląc poszedł tam i znalazł robotę.

Nie długo potem wybuchł strejk.

W zgromadzeniach robotniczych, które strejkujący zwoływali, począł brać czynny udział. Przemawiał często publicznie. I jakkolwiek nie posiadał daru wymowy, jąkał się i zacinał, to jednak mówił rozumnie i zyskał poklask i mir u towarzyszy.

Były to jego pierwsze wystąpienia. Od tej chwili rzucił się z całym zapałem do nauki. Nie jedną noc strawił na studjowaniu ekonomji i w krótkim stosunkowo czasie stał się, że tak powiemy, zbiornikiem wiedzy ekonomicznej. Samouk chwycił następnie za pióro, i jakkolwiek nie był najtęższym pisarzem socjalistycznym Francji, to bezsprzecznie jednym z najproduktywniejszych.

I pod tym względem należy Malon do tych typów robotniczych, których tak wiele wytworzył socjalizm, a którzy własną pracą zdobyli sobie stanowisko w świecie i poczestne zajęli miejsce wśród pisarzy i mówców.

Szybko grać począł dość poważną rolę w »Międzynarodówce«. Rola ta jednak nie była rewolucyjną. Właśnie Malon był jednym z tych doktrynerów w Internacjonale, którzy lylko lubowali się w dyskusjach ekonomicznych i którzy wszelkie swe siły wytężali po temu, by robotników paryzkich wyrwać — jak się wyrażali — ze szponów rewolucyjnych komunistów i popchnąć a raczej ograniczyć do dyskusji na temat płacy, ekonomicznych stosunków w socjalistycznem państwie przyszłości itp.

Była chwila, w której wpływ Malona i jemu podobnych był tak stanowczy, iż zdawało się, że ku hańbie robotniczej cesarstwo będzie miało w Internacjonale silnego sprzymierzeńca. Na szczęście do tego nie przyszło. I dlatego właśnie rząd cesarstwa począł prześladować Internacjonał. Malonowi, mimo bladości jego zapatrywań, dostało się w r. 1868 kilka miesięcy kozy.

Po wyjściu z więzienia zmienia się charakter Malona. Z szermierza na słowa, z człowieka który ciągle na każdym kroku dyskutował, stał się zapalony i wytrwały organizator związków robotniczych. Do spółki wraz z Varlinem położył ogromne pod tym względem zasługi. Brał też udział w znanym kongresie w Bazylei.

W roku 1870 imię jego stało się rozgłośne. Sławę mu zjednało współpracownictwo jego w piśmie Rocheforta »Marseillaise«.

W niedługi czas jednak wytoczyło cesarstwo członkom Internacjonału trzeci proces z rzędu i Malon został skazany na rok więzienia. Lecz dzień 14. września, obwołanie republiki przyniosło mu wolność.

W okropnych czasach oblężenia Paryża brał udział w agitacji i działalności rewolucjonistów. Następnie był deputowanym na smutnej pamięci zgromadzenie do Bordeaux. Atoli obrzydły mu tam zapędy. reakcjonistów celem wskrzeszenia monarchji, złożył więc wraz z innymi socjalistycznymi i demokratycznymi deputatami (Cournetem, Rochefortem i innymi) swój mandat i wrócił do Paryża. Gdy dnia 18. marca odniosła rewolucja świetny tryumf, zachował się Malon jak wszyscy chwiejni i niezdecydowani ludzie: uląkł się tej rewolucji, przestraszyła go całkiem nowa sytuacja. Wahał się nie wiedząc czy ma stanąć po stronie rewolucji, czy przeciw niej. Ostatecznie zdecydował się działać przeciw rewolucji i był jednym z tych, którzy starali się centralny komitet gwardji narodowej skłonić do porzucenia świętej sprawy ujarzmionego ludu. Można sobie tłómaczyć ten krok, ale usprawiedliwić go trudno. Wraz z Malonem działali również w tym kierunku nawet Louis Blanc, Langlois, Clemenceau i inni. Gdy atoli zawiodły go usiłowania, zobaczył iż nowy porządek rzeczy ze starym pogodzić się nie da, stanął po stronie komuny i wytrwał dzielnie do końca.

Po brutalnem zgnieceniu komuny, umknął Malon za granicę tak jak wielu innych komunardów, i straciwszy sposobność agitacji żywem słowem, poświęcił się duszą i ciałem literackiej działalności. Napisał romans socjalistyczny p. t. »Spartacus«, historję ekonomii politycznej, wielkich rozmiarów historję socjalizmu, przełożył Schäffle'go i Lassalle'a. a nadto napisał moc dzieł i broszur rozbierających rozmaite kwestje socjalne.

W dziewięć lat po komunie wrócił do Paryża i założył tu w roku 1888 »Revue socialiste«, organ filozofii socjalnej. Do życia politycznego nie czuł już najmniejszego pociągu i poświęcił się całkowicie literackiej działalności. Był współpracownikiem Rocheforta organu »L'Intransigeant« jakoteż »L'Egalité« redagowanej przez Grangera i Guesde'a.

Socjalizm Malona był zupełnie bezbarwny. Idea jego krystalizowała się w rodzaju jakiejś nieuchwytnej interwencji państwa między kapitałem a pracą. Był stanowczym przeciwnikiem teorji Marksa i dla tego też przy każdej sposobności występował przeciw francuskim marksistom a zwłaszcza przeciw przewódcy tychże Guesde'owi.

W ostatnich czasach w ruchu robotniczym nie brał żadnego udziału, to też i wpływu na rozwój tego ruchu nie posiadał zupełnie. Partji dla swych idei nie wytworzył — ale natomiast był szanowany dla swej rozległej wiedzy przez socjalistów wszystkich odcieni, czego dowodem owe przemówienia wygłaszane przez reprezentantów partji socjalistycznych w czasie palenia zwłok jego w krematorjum na cmentarzu »Père Lachaise«.

TRUDNY WYBÓR.

Napisał

Karol Dickens.

Pewien ormianin nazwiskiem Mathyas, od lat najmłodszych poświęciwszy się kupiectwu, całe życie spędził w podróżach. Poznał też na wylot całą niemal Azję wzdłuż i wszerz, aż do wysp Oceanu południowego. Kiedy nareszcie osiadł na stałe w Tarsie, mieście rodzinnem, znajdował się jeszcze w sile wieku. Uzbierał też sobie nie mało grosza. Jako człowiek przezorny, złożył wizytę miejscowemu paszy, nie zapominając o zabraniu ze sobą worka świecących cekinów, oraz naszyjnika wybranych pereł najżywszego blasku. Taki dowód dobrego wychowania pozyskał mu szczerą życzliwość tureckiego dygnitarza. Wybudował też dla siebie wspaniały pałac pośród ogrodów, położonych nad brzegiem rzeki, mając zamiar spędzić tu resztę życia na słodkim wypoczynku po długiej tułaczce. Ludzie uważali ogólnie Mathyasa za człowieka najszczęśliwszego pod słońcem, ale bliżsi znajomi wiedzieli, że nieodstępną towarzyszką była mu nieukojona tęsknota. Kiedy opuszczał rodzinne miasto przed laty, jako chłopiec okrętowy, pozostawił ojca, matkę, braci, siostrę, w ubóstwie wprawdzie, lecz zdrowych i spokojnych. I dorabiając się majątku wśród ciężkiej pracy, krzepił się myślą, że nie dla siebie jedynie pracuje. I powtarzał sobie z żywą radością: »gdy zdobędę bogactwo, będzie z tem dobrze wszystkim moim ukochanym«. Niestety! okrutna ręka śmierci zaciężyła nad jego rodziną. Wszyscy jej członkowie zmarli podczas zarazy. Gdy wrócił, nie zastał już nikogo. Na cóż mu się zdało teraz życie? na co znaczne bardzo mienie? Był bogaty, ale sam, jak palec na świecie! Oto dla czego towarzyszką jego życia była nieukojona tęsknota.

Mathyas, bogaty kupiec, bywał przedmiotem żywych rozmów w mieście. Najżywiej jednak zaprzątano się nim w bazarze. Pewnego wieczora krawiec chrześcijański mówił zwracając się do swego sąsiada, żyda wekslarza:

— A no, szanowny sąsiedzie, mówcie sobie co się wam podoba, a ja stawiam w zakład cały mój sklep, ze wszystkiem co się w nim znajduje, że tylko patrzeć, jak się nasz Mathyas pocieszy. Założę się z wami o co chcecie, że upatrzy sobie najpiękniejszą w mieście dziewczynę, ożeni się i smutek jego zniknie, jakby ręką odjął.

— Twój sklep? — odparł żyd z przekąsem. A cóż wart ten cały twój sklep? Posiadasz w nim parę kaftanów, których nikt nie kupi, bo na nikogo się nie zdadzą, parę zardzewiałych nożyczek, kulawy stołek, kilka pasemek splątanego jedwabiu i... cóż więcej? Zdaje się, że to już wszystko — tak, wszystko, co się nazywa. Sądzę więc, że nie wiele ryzykujesz, robiąc podobny zakład.

Krawiec zagryzł usta i zaczął szeptać jakąś modlitwę, aby nie uledz pokusie nawymyślania sąsiadowi, a uspokoiwszy się, ciągnął dalej:

— Jeśli tak, to zróbmy inny zakład: wiesz dobrze, że kupiłem tej wiosny młodą murzynkę do piastowania dziecka i usługiwania mej żonie. Dziewczyna zdrowa jest i pracowita. Chcesz może o nią się założyć?

Żyd milczał przez dłuższą chwilę, głaszcząc brodę i namyślając się. Przypominał sobie, jak i on sam przybył przed laty czterdziestu do tegoż miasta z workami złota i zastał również dom swój opustoszały. Doświadczył z tego powodu ogromnej boleści, ale z biegiem czasu przebolał i pogodził się z losem. Żył samotny, gromadząc ciężkie cekiny oraz kosztowności z zastawów, co mu najzupełniej osładzało życie. Przyszedł tedy do wniosku, a dalej do przekonania, że po przebyciu pewnej pory życia, nie pozostaje w sercu człowieka innej namiętności, jak bezwarunkowa miłość pieniędzy. Więc odpowiedział krawcowi:

— Zgoda! Nie zakładajmy się jednak ani o sklep, który mi się na nic nie przyda, ani o piastunkę, którąby nie miała kogo u mnie piastować, lecz o okrągłych pięćset piastrów, że conajmniej w ciągu pięciu lat od dziś licząc, Mathyas się nie ożeni.

— Zgoda! — zawołał krawiec, uderzając ręką w rękę wekslarza.

Przywołano następnie sąsiadów, aby byli świadkami zakładu i wszyscy nie mało się uśmiali.

O zakładzie dowiedział się niebawem i sam Mathyas, przechadzając się więc pewnego razu po bazarze, przystanął przed sklepem krawca i rzekł mu surowo:

— Szalony człowieku! skądże ci przyszło do głowy ryzykować więcej, niż posiadasz? Widziałem wszystkie tutejsze dziewczęta i żadna nie zrobiła na mnie najlżejszego wrażenia. Zaprawdę mówię ci, staniesz się ofiarą tego żyda.

— Wierzajcie mi, wielmożny panie — odparł krawiec z uśmiechem, że niepodobieństwem jest, aby uczciwy człowiek, pozostał całe życie samotny. Gdybyście chcieli zrobić zaszczyt swojemu słudze i weszli choć na chwilę pod niską jego strzechę, zobaczylibyście młodą moją żonę, uśmiechającą się na mój widok i małe dziecię, wyciągające ku mnie rączęta, a wówczas jestem pewny, że zmienilibyście swoje postanowienie i zapragnęli takiego, jak moje szczęścia. Może nie uważnie rozglądaliście się po mieście? Między innemi jest tu naprzykład Nirian, córka piekarza, dziewczyna śliczna, co się nazywa, wysmukła a wspaniała na wejrzenie, jak królowa. Jest ona jakby stworzona na małżonkę dla waszej wielmożności. Gdybyście sobie tego życzyli, moja żona mogłaby nie później jak dzisiejszego wieczora rozpocząć swatanie dziewosłęby.

Bogaty kupiec namarszczył zrazu brwi i zadumał się, ale rychło opamiętawszy się potrząsnął głową i szybko się oddalił.

Zyd uśmiechał się ironicznie, słuchając rozmowy, a w końcu rzekł do krawca.

— Jeżeli chcecie sąsiedzie, to odkupię od was wasz zakład. Dajcie mi sto sztuk srebra i będzie koniec. Zastanówcie się, dopóki czas. Mogę wprawdzie i ja przegrać, ale was to może spotkać daleko łatwiej.

— W ciągu pięciu lat — odparł krawiec — święta Filolea zdołała zużyć łzami i pocałunkami kamień tak wielki, jak ten oto stołek; dla czegożby więc w równie długim okresie czasu serce ludzkie nie miało zmięknąć?

Bądź co bądź rozmowa z krawcem dała Matyasowi nie mało do myślenia.

— Kto wie — mówił sobie w duszy — może on i ma słuszność. Smutnie, naprawdę, upływa życie w osamotnieniu. Sam Bóg dał przecie człowiekowi towarzyszkę; obowiązkiem jest przeto nie wyrzekać się jej, ale owszem szukać i znaleźć. Ale gdybym i chciał nawet, dokądże się udam? Znam tutejsze dziewczęta. Wszystkie są płoche i próżne. Od dzieciństwa uczono je kochać się w strojach, błyskotkach, osobliwie zaś w sobie samych. A ponieważ jestem człowiekiem bogatym, mającym dostatecznie na stroje i zbytki, gdybym więc chciał, każda oddałaby mi bez wahania rękę. Ale cóżby mi z tego przyszło? Wszak pragnąłbym mieć towarzyszkę życia, a nie lalkę do ubierania dla drugich. Wśród tych wszystkich wietrznic, egoistek i grymaśnic nie ma ani jednej, którаby mogła i chciała dać szczęście człowiekowi, co przebywszy tyle przeciwności i burz w życiu, chciałby nakoniec odpocząć w ciszy i oddaleniu od świata.

Myśl o małżeństwie zaprzątnęła jednak silnie umysł Mathyasa. Postanowił nie mieć sobie nic do wyrzucenia. Opanowała go też wątpliwość: może nie szukał jak należy? może się uprzedzał zbyt łatwo? może był zbyt wymagający? Ułożył więc sobie spróbować raz jeszcze szczęścia. Odnowił dawne stosunki, porobił nowe, zaczął bywać w domach, gdzie znajdowały się panny na wydaniu. Przypatrywał się im pilnie, badał ich skłonności, upodobania, przymioty. Widząc to, z góry już winszowano krawcowi wygranej, a żyd gryzł się w duchu, chociaż pozornie nadrabiał miną. Gdy nagle wszystko znowu wróciło do dawnego stanu: Mathyas zerwał ze światem, zamknął się w swoim pałacu i zdziczał bardziej niż kiedy. Teraz żyd począł tryumfować, ale krawiec nie tracił nadziei, mając jeszcze sporo czasu przed sobą. Pocieszał się zresztą w towarzystwie ukochanej żony i dziecka, podczas gdy tamten miał za całe szczęście tylko zimne skrzynie ze złotem i fantami, na których błyszczała niejedna łza ludzka.

Po upływie roku Mathyas uczuł znowu cały ciężar osamotnienia. Smutny i chory, czując wstręt do miejskiego gwaru, kazał sobie siodłać co rano muła i wyjeżdżał na nim w dalekie góry. Tam zsiadłszy z niego, błąkał się wśród skał i wąwozów, wracając do miasta dopiero po zachodzie słońca.

Pewnego dnia dotarł w ten sposób do uroczej jakiejś doliny, środkiem której przepływał jasny strumień, a idąc w zadumie krętym jego brzegiem, zapuścił się tak daleko, że nie zdołał przed zapadnięciem zmroku wrócić na miejsce, gdzie zostawił muła pod dozorem sługi. Nie chcąc błąkać się nadaremnie w ciemnościach, postanowił przenocować w pierwszej lepszej pieczarze, a znużony całodziennem chodzeniem, zasnął niebawem i obudził się dopiero z pierwszym brzaskiem zorzy. Zerwał się natychmiast z twardego posłania i odmówiwszy ranny pacierz, zaczął szukać drogi do miasta, kierując się podług słońca. Znalazł się wkrótce pośród rozległej zielonej płaszczyzny, kończącej się parowem, w głębi którego pienił się potok, wypływający ze skały. Podczas gdy rozpatrywał się dokoła, szukając wyjścia, ujrzał wiejską dziewczynę, nie mogącą dać sobie rady z krową, która się jej wyrwała i uciekała wprost ku pieczarze.

— Aha! — pomyślał Mathyas — szczęśliwe spotkanie i nadarza mi się w samą porę. Pomogę jej ująć rozbrykane bydlę, a ona za to wyprowadzi mię na drogę do Tarsu.

Tak pomyślawszy, puścił się w pogoń za krową i wkrótce udało mu się uchwycić koniec postronka, uwiązanego u jej rogów.

— Bóg wielki zapłać panu! — zawołała nadbiegając zadyszana dziewczyna (była bardzo ładna, a rumieniec i przyśpieszone bicie serca dodawały jej jeszcze więcej wdzięku). Obitoby mię, gdybym nie przyprowadziła do domu Nahory.

— A któżby miał serce cię bić, moje dziecię? — zapytał Mathyas, nie mogąc się napatrzeć dziewczynie.

— Mnisi z klasztoru — odpowiedziała. — Dziękuję panu raz jeszcze, Bóg panu zapłać.

Mathyas zapomniał najzupełniej o drodze do Tarsu i zaczął iść obok dziewczyny, zadając jej mnóstwo pytań. Dowiedział się też od niej, że była córką niewolnika, należącego do pobliskiego klasztoru, a sama miała obowiązek pasać krowy.

— Nie idź już pan dalej ze mną — rzekła, gdy zbliżyli się do parowu. Nie wolno mi rozmawiać z nikim po drodze, a tu łatwo możemy spotkać kogoś z klasztoru.

Mathyas uczuł smutek, ściskający mu serce; rozpytał o drogę do miasta i rad nie rad pożegnał piękną pasterkę, a wróciwszy do swego pałacu, znalazł go tak nudnym, jak nigdy.

— Ależ to dopiero! — rzekł sobie nazajutrz z rana — zapomniałem nawet zapytać dziewczyny

jak się nazywa. A przecież należałoby ją wynagrodzić za wskazanie mi drogi.

Wymyśliwszy sobie taki powód, wsiadł na muła, pojechał w góry, odszukał pieczarę, przenocował w niej po raz drugi i równo z brzaskiem był już na nogach, błąkając się niby przypadkiem po łące.

Niebawem ujrzał kilka krów, wychodzących z parowu, a na końcu niesforną Nahorę, której tym razem pasterka ani na chwilę nie wypuszczała z ręki. Ujrzawszy go zdaleka, zawołała z uśmiechem.

— Dzień dobry wędrowcze! Nie potrzebuję twej pomocy dzisiejszego ranka, chyba zechciałbyś mi dopomódz w pojeniu krów.

— Jak najchętniej, z całego serca! pośpieszył z odpowiedzią bogaty kupiec.

— Tylko ostrożnie — mówiła dziewczyna, przedewszystkiem trzeba poprowadzić Czarnuszkę, bo gdyby nie poszła pierwsza, bodłaby inne krowy, a wówczas rozleciałyby się na wszystkie strony i nie moglibyśmy dać sobie z niemi rady.

Przyjąwszy do wiadomości daną przestrogę, najmajętniejszy obywatel bogatego miasta Tarsu, ułamał gałązkę i począł, jak pierwszy lepszy pastuch, poganiać narowistą krowę. Ale zaledwie zdążył dotknąć jej grzbietu, gdy ta wierzgnęła i zadarłszy ogon poleciała w dolinę, jak strzała. On za nią, a kiedy nakoniec po niezliczonych trudach udało mu się znowu nawrócić ją do źródła, inne krowy od dawna już się były napiły, a dziewczyna siedząc na krawędzi skały, zanosiła się od śmiechu, a była tak ładna, że aż dziwnie było patrzeć.

— Nie potrafiłbyś być dobrym pastuchem, panie wędrowcze — rzekła wreszcie.

Uwaga dziewczyny nie wiadomo z jakiego powodu, wielce zasmuciła Mathyasa. Potem pomyślał, że się okrył śmiesznością w oczach pięknej dziewczyny i przeklinał w duszy Czarnuszkę, która stała się tego przyczyną. Rozpogodził jednak niebawem czoło, usiadł przy pasterce i zapomniał o całym świecie. Rozmawiali ze sobą długo, a w końcu dowiedział się, że na imię jej było Karyna.

Jużto od pierwszego spotkania postanowił był sobie w duchu, że... że się z nią ożeni, jeżeli... ona zechce pójść za niego. Tak jest, wyraźnie: że się z nią ożeni, jeżeli ona zechce pójść za niego, tak dalece ubóstwo tej dziewczyny wydało mu się wyższe nad wszystkie bogactwa, jakie posiadał i tak dalece nauczył się cenić szczęście, jakie tylko czysta miłość dać może.

I tak niewypowiedzianie stał się trwożliwym, że nie ośmielił się dnia tego powiedzieć nawet, że ją kocha. Pożegnali się wreszcie o zmroku, a Mathyas obiecał przyjść znowu nazajutrz.

(D. n.)

Z opery wiedeńskiej.

Zeszłego tygodnia skorzystaliśmy z pobytu we Wiedniu, by przysłuchać się najnowszej operze Mascagniego »Bracia Rantzau«.

Byłoto przedstawienie wzorowe, godne nadwornej opery wiedeńskiej, niemniej jednak, zdaje się nie wszystko w pierwszorzędnej tej instytucji artystycznej jest w porządku. Obecny dyrektor Jahn, nie wiemy z czyjej winy zeszedł po części z racjonalnej drogi. Repertuar opery wiedeńskiej wykazuje braki, świadczące, że obecny kierownik nie kompletuje personalu, potrzebnego do wysoce artystycznego wykonania pierwszorzędnych oper dawnych i obecnych kompozytorów, lecz że czyni repertoar zawisłym od chwilowego składu śpiewaków, który jak na dziś, nie ze wszystkiem odpowiada wymogom bezwzględnej krytyki. Również hołduje p. Jahn zbytnio modzie, w przeciwnym razie niebyłby wystawił tak bardzo słabej opery, jaką jest Mascagniego »Bracia Rantzau«.

Już samo libretto, wzięte z opowieści Erckmanna i Chatriana, nie nadaje się do obrobienia operowego. Niczem w operze nieumotywowana nienawiść dwóch braci, chłopów Jana i Jakóba i czułostkowa wzajemna miłość córki Jana do syna Jakóba, to rzecz tak monotonna, że trudno oprzeć się nudom, jakie wywołuje akcja sceniczna czterech tych figur w ciągu czterech aktów.

Żywych a olśniewających scen wiejskich, które tak łatwo i wdzięcznie dałyby się zużytkować w dramacie ludowym, brak w »Rantzau« zupełnie. Ledwie tu i owdzie jaki bardziej ożywiony ansambl, ledwie dwa lub trzy razy w ciągu czterech aktów jaka żywsza scenerja wiejska, o którą w dramacie tego rodzaju tak łatwo. Na punkcie libretta niemiał więc tym razem Mascagni a wraz z nim publiczność szczęścia. A muzyka? Trzeba w czepku się urodzić, by po napisaniu takiej słabizny a w dodatku tak zmanierowanej, doczekać się wystawienia jej na miarodajnej scenie wiedeńskiej opery nadwornej.

Nie należy jednak powyższego zrozumieć tak jakoby w »Rantzau« nie było scen pięknych a nawet wartościowych. Olbrzymi talent szczęśliwego twórcy »Cavallerii« i wcale udatnego »Amico Fritz« posiada zbyt wiele wybitnych, ujmujących cech, by się zupełnie nie ujawniły w dziele czteroaktowem. Ożywcze tchnienie namiętności i uczucia, właściwe Mascagniemu i w »Rantzau« występuje częstokroć z siłą elementarną i zachwyca słuchacza. Niemniej jednak w pracy niniejszej brak przewodniej myśli muzycznej, melodyka u kompozytora wyczerpana, co piękniejszego w operze, wzięte jest żywcem z »Cavalerii«, wszędzie widoczny jest pospiech w fabrykowaniu utworu a przedewszystkiem ciągła, nerwowa zmiana tempa i rytmu, niczem nieuzasadnione a częste,

bezpośrednie zestawianie dysharmonijnych akordów, czyni całą muzykę niespokojną, nużącą. Słuchacz w powodzi różnorodnego tempa i rytmu, napróżno szuka wytchnienia, punktu oparcia. W »Rantzau« nie brak także i trywialności, posuniętych do dalekich granic.

I tak w akcie drugim spiewa na scenie kwartet solowy nie wiedzieć poco, i dlaczego »Kyrie elejson«. Wśród tego za sceną odzywa się wysoce trywialna pieśń ludowa z towarzyszeniem stuku cepami. Ustęp ten opery, odznacza się co prawda robotą kontrapunktyczną, lecz przyzna każdy, że zestawienie poważnego »Kyrie« z młóceniem cepów, które ma charakteryzować złośliwy figiel brata Jakóba, jest wysoce.... operetkowe. Najudatniejszym ustępem opery jest chór dziewcząt przy studni w akcie trzecim. Chór ten tchnie życiem i zdradza talent pierwszej miary. Akt ten w ogóle jest najlepszym w całej operze.

»Bracia Rantzau« mimo wszystkich wad, posiadają jednak bardzo ważną zaletę, a tą jest, że Mascagni zapewne się opamięta, że pozwoli pomysłom swoim na przyszłość bardziej przefermentować, że przedewszystkiem pozwoli władzom swym umysłowym odpocząć, a tego — sądząc po »Braciach Rantzau«, koniecznie mu potrzeba. W przeciwnym razie szkoda genjalnego twórcy »Cavallerii rusticany«.

Z wykonawców — pominąwszy niezrówną orkiestrę pod dyrekcją Jahna i wybornych chórów, jedynie panna Renard zasługuje na miano znakomitej śpiewaczki.

Tenorzysta Schrödter, mimo doskonałej metody śpiewania, dla nie bardzo sympatycznej barwy głosu i częstokrotnego forsowania, kwalifikuje się na scenie takiej jak wiedeńska, do partji drugorzędnych. Świetny zresztą baryton Ritter, tremoluje. Jestto wada, która pierwszorzędnej scenie powinna być obcą. Basista Reichenberg niema w »Rantzau« pola do popisu. Opera wiedeńska posiada wprawdzie innych wybitnych śpiewaków jak Van Dycka, Reichmanna, Grengga lub panie Lolę Beeth, Forster, Mark i t. d. ale — jak to już na czele niniejszego artykułu zaznaczyliśmy, wedle nich układać repertuar, byłoby zbrodnią artystyczną. Równałoby się to tworzeniu stawu wedle grobli.

Stanisław Meliński.

ŚWIATŁA!

»Fiat lux — libertas erit!«

Czy na to Boże, słońcem promienistem
Oświecasz jasno przestwór niezmierzony,
Czy na to tylko płomieniem srebrzystym
Zapalasz nocą całe gwiazd miliony,

Czy na to niecisz to światło dla ziemi —
By na niej wiecznie, wiecznie było ciemno?!
Bo czy wygnałeś słońcami swojemi
Wolności wroga — ciemnotę nikczemną?

A wszak wyraźnie w księdze napisano,
Że wolność będzie — gdy się jasno stanie;
Więc my, co walczym o wolność zabraną,
Wołamy codzień: Jeszcze światła, Panie!...

Kazimierz Kalinowski.

Z ruchu literackiego.

W stuletnią rocznicę drugiego rozbioru Polski. Lwów. 1893 r. Cena 10 ct.

Niepomni wielkiej prawdy, że naród, co nie chce poznawać swych błędów, idzie w śmierć, zwracaliśmy najczęściej myśli i uczucia ku chwilom świetlanym z naszej przeszłości, święciliśmy takie tylko rocznice, które wydzwaniał oręż starej sławy polskiej. Odbijało się to i na popularnych wydawnictwach, które pomijały milczeniem fakty upokarzające dla dumy narodowej, bolesne dla serca, jak gdyby zrozumienie przyczyn upadku nie nie było piewszym krokiem do podźwignięcia się z niego. Szkodliwe milczenie w tym kierunku przerywa broszura, która opuściła świeżo prasę pod wyżej podanym tytułem. Daje nam ona wyczerpującą opowieść o smutnych dziejach Sejmu grodzieńskiego, podnosząc starannie światlejsze punkty na ponurem tle obrazu, lecz nie ukrywając gorzkiej prawdy, zdrowej dla organizmu narodowego, jak gorzkie ale skuteczne lekarstwo.

Umiejętne ujęcie faktów historycznych, piękny a jasny język, treściwość wykładu obok szerokości poglądów i ciepła patrjotycznych uczuć nadają niepospolitą wartość broszurze, która powinna znaleźć wśród naszego społeczeństwa szerokie koła gorliwych czytelników.

K. Bujwid. Najpotrzebniejsze wiadomości o cholerze. Najprostsze sposoby ustrzeżenia się jej, oraz wskazówki ratowania i pielęgnowania chorych. Warszawa 1893 u Kolińskiego str. 16.

Popularna to broszura zalecająca przestrzeganie, łatwych zresztą, środków hygieny osobniczej podczas cholery. Rzecz napisana niewyczerpująco, tym nie mniej odda usługi właściwemu kołu czytelników. Za wadę broszury tej uważać należy ustęp traktujący leczenie cholery (vomitorium, kalomel, jodoform), w książeczce popularno-hygienicznej zupełnie nie właściwy. Żadnego z tych środków bez przepisu lekarza użyć nie wolno, jednocześnie jednak lekarz inną metodą leczący ściągnie ze strony mało inteligentnych tłumów nieukontentowanie, bezpodstawną krytykę. Popularność broszury traci przez używanie zwrotów i wyrazów literackich; prócz tego zarzucić książeczce należy niedbałą korektę.